

Kazimierz Kochański

Odmiejscowienia

Przemyskasz
mimochoodem – blisko

Powiew twej obecności

Znów wiem
że ruch najdrobniejszy
wyzwała

Że życiu potrzebny
oddech

Że obok
znaczy
nie sam

Wyruszą
... do siebie?

Wici

Gdy nie wiesz nic
o ziarnie
nie niepokój gleby

obejdź pole
uprawne wierszem
górnolotnie

Gdy nie wiesz nic
o glebie
pomiń dotyk kłosów

niech wiatr ożywi
ziarna
spragnione rodzenia

Do mnie przyjdź
póki-wciąż
żyję

Bolą mnie plecy

Był toast –
wystarczyło słów
i szampana

nikt nie żałował

sto lat
to za mało

nikt nie oszczędzał

co ma być
to będzie

wszystkiego najlepszego
– ale skąd?

Peszenia

Nie dręcz słów...
Odczekaj!
Odszczekaj,
same wpadną w podziw.

Nie męcz ust...
Za ścianą już mówią;
szepcą.
Odpuść uszom.

Wybacz –
nie chcę być twoim
wzrokiem.

Warstwienia

Rozsyłasz wieści –
kręte ścieżki do
nikogo

Bez adresu
zwrotnego

W pustych kopertach
twoja bezworność
i bezwolność

Prawda
w przymkniętych oczach
przezczulonym słuchu

Tak wiele
w tej... nieobecności.

W pobliżu

Działo się
wiele i niewiele

mogę ci opowiedzieć
byłem

cudów nie ma
nie

musisz wierzyć
jak każdy

dalej mogłem
– być

Niecenia

Spotykamy się –
niechcący, niechętnie;
swatamy słowa
– trudne związki.

Przeczekujemy –
odnawiając stare;
żale ożywają chęci
– świętego spokoju.

Czynimy –
nawet odczyniamy;
a kysz pokusom
– odczarowujemy.

Rozczarowanie –
niecące, niechcące;
swatanie słów
– bez zawiązków.

Maria Borcz

* * *

widzę ruszające się powieki
zaliczono cię do nieboszczyków
patrzysz na mnie gasnącym wzrokiem
to nie sen to dzieje się naprawdę
bezsilność przeradza się w pogardę dla życia
tylko łzy i głośne bicie serca teraz
różnią mnie od kamienia

* * *

żądny władzy Nabuchodonozor
stoi z głową w gwiazdach
w ramionach dzierży owoce cudzej pracy
miedziany tors lśni blaskiem potęgi i chwały
stopy sklecone z żelaza i gliny
tego połączyć się nie da
w niespójność uderza kamień
unicestwia kolosa
pryska sen o potędze

* * *

ogień pożarł mu dom
nawałnica rozmiotła zgłiszcza
resztki dobytku spłynęły wielką wodą
bezdolny Hiob snuje się po rubieżach
kartonowej egzystencji
ciągnie za sobą smród
i całą paletę infekcji
cuchnie własnym dzieciom
gardzą nim nawet podrostki
szydzą gdy stara się podnieść
odrazę wzbudza u bliskich

* * *

opustoszałe place i ulice
ciężarówka wloką mary na wieczny odpoczynek
żałoba
milczą cerkiewne dzwony
więdną kwiaty w przydrożnych kapliczkach
usycha oddech
żółknie zieleń cichnie
łabędzi śpiew
kruki i wrony w czarnych frakach
rozwlękają martwe